

Marya Toczyska Segeny.

BEZ STERU

Powieść.

3 Rozpalonemi rękami silnie zacisnęła skronie. Ból głowy wywołany przykrą rozmową ze siostrą, w końcu ostatnie jej słowa spotęgowały go do tego stopnia, że już dalej pracować było niepodobieństwem. Odrzuciła malowane pudełko i raz jeszcze wzrok jej zmęczony pobiegł na podwórko. Godzina południowa zwabiła prawie wszystkich mieszkańców kamienicy. Byli to po większej części drobni urzędnicy i rzemieślnicy. Podniesione głosy dochodziły z otwartych okien mieszkań. stuk talerzy i naczyń mieszał się z wrzaskiem dzieci i upornym gdzieś klekotaniem maszyny do szycia. Zapach tłuszczów i taniego jedzenia buchał z otwartych drzwi kuchennych wychodzących na ganki, zatruwając pierwsze tchnienie wiosennych podmuchów, które nieopatrnie i zuchwałe, płynąc z daleka, na wąskie podwórko zablakać się ośmieliły. Głos ojca dopominającego się o obiad wyrwał Jankę z zamyślenia.

Wstała szybko, nie chcąc się z nim spotkać i skierowała się do kuchni.

Nie była wstanie prowadzić teraz jakiegokolwiek rozmowy. A tam pomoże Felce i przy tem przymusowem zajęciu, odzyska trochę utraconej równowagi.

Bogucki otworzył ostrożnie drzwi jadalnego pokoju i wszedł wolno rozglądając się.

Niegdyś może wytworny i przystojny, dziś gonił już bardzo nikłymi resztkami życia. Ubrany był skromnie, lecz z widocznym staraniem. Na twarzy szerokiej, jakby nabrzmiałej trochę, pojawiał się często bezmyślny uśmiech. Na pierwszy rzut oka ujawniało się, że chcąc zamaszkować dosyć uwydatniające się objawy starości, przymuszał się do gibkich, młodzieńczych ruchów i chodu.

Oczy dosyć żywe jeszcze nie mówiły o żadnej trosce lub gnębiącej myśli.

Umiął brać z życia wszystko co się dało, jak sam mówił i korzystał z niego bez żadnych skrępowań, starając się wyciągnąć dla siebie jak najwięcej wrażeń i przyjemności. Że w poszukiwaniu tych wrażeń nie był bardzo wybredny i wymagający, świadczyła sympatya jaką się cieszył debiutantkami teatralnymi i szwaczkami pozującymi na naiwne.

Naiwność tych przygodnych towarzyszek była jego słabą stroną. Wierzył w nią jak student gimnazjalny idący na pierwszą schadzkę. I choć zdawało się, że się rozczarowywał dosyć prędko nie przestawał wierzyć i czynił dalsze poszukiwania z wytrwałością i niezamierzającą nadzieją.

Bogucki znajdował się dnia tego w szczególnie dobrym nastroju. Ciepły, wiosenny dzień ożywił go i właśnie popołudniu spotkać się miał z panną Anetką, nowo upolowaną zdobyczą w pokoju na mieście odstąpionym mu przez nieżonatego kolegę biurowego.

Ale do tego widzenia trzeba było przygotować się i liczył na pomoc Felki, w tajemniczonej oddawna w jego sprawy.

Bogucki chciał ją wysłać cichaczem popołudniu do znajomego kolonialnego sklepu, po bakalie i wino, oczywiście na kredyt, bo pieniędzy nie miał i następnie kazać zanieść na miejsce schadzki.

Sprawę tę trzeba było jednak załatwić w ten sposób, aby w domu nie zwrócić uwagi.

Siadł na fotelu, zamyśliwszy się nad sposobem, jaki oberze, aby plan swój doprowadzić do rezultatu, kiedy przyszła mu myśl, że najlepiej odrazu porozumieć się z Felką, póki żony nie ma, a dziewczęta zajęte w kuchni.

Najłżejszy wyrzut sumienia nie przyćmił przyjemnych jego myśli. Zdaje się, że człowiek ten nigdy nie umiał patrzeć na życie poważnie i z zastanowieniem. Nawet strata Zagajnik i zmiany, jakie przyniosła ze sobą w życie całej rodziny, nie dotknęły go silnie. W pierwszych miesiącach irytowało go przymusowe zajęcie biurowe i brak wolności, do której nawykł, ale z czasem z obojętną lekkomyślnością swoją przyzwyczaił się i do tego. Starał się tylko nie bardzo zapracowywać w biurze i osładzać życie jak mógł najlepiej.

Bogucki wstał z fotelu, podszedł do drzwi przedpokoju i zawołał na służącą.

— Słucham pana! A co tam nowego? — odpowiedziała Felka wpadając jak huragan do pokoju.

Bogucki podszedł do niej i ujął pod brodę. — Słuchajno, moja mała, rzekł cicho, nachylając się. Wyjmijże mi zaraz z szafy to ubranie jasne i przeprasuj. Zaniesiesz do mnie zaraz po obiedzie, rozumiesz?

— Rozumiem, odparła Felka chichocząc. — A nie wiesz ty, czy panienki wychodzą po obiedzie?

— Zdaje mi się proszę pana, że wychodzą, abo co?

— Chcę, żebyś popołudniu skoczyła do Wentzla i wzięła coś na rachunek. Dam ci karikę, a potem zaniesiesz to na ulicę Szujskiego pod piątą numer i oddasz stróżowi.

— Ojej! to pan znowu jakąś fetę wyprawia?

— Ehl ty zaraz! fetę! Z interesantem mam się widzieć.

Felka podsunęła się do Boguckiego dotykając prawie jego piersi ramieniem.

— Co pan myśli! zaśmiała się szeroko. Ja tam wiem dobrze co za interesant! Fiul fiul! Ale też z pana jeszcze amant.

Bogucki wyprostował się i wyraz dumnego zadowolenia przemknął się po jego twarzy.

— Jakoś tam jeszcze idzie, wycodził powoli. Tylko ty, pamiętaj o ubraniu. Czy go mole nie zjadły przypadkiem, bo to z tymi porządkami domowymi...

— E, co by znowu! Oglądałam kiedyś. Jeszcze wcale.. wcale.. Niech się pan nie kłopotuje. Wyczyszcze, wyprasuję, jak od krawca. A bilet na niedzielę do ludowego będzie?

— Będzie, będzie, tylko spraw się dobrze. O Wentzlu nie zapomnij.

— E, gdzieżby, tylko żeby dał... tam już tyle..

— Da, da. Do pierwszego niedaleko. Coś się spłaci. A więc zgrabnie, ładnie, przed trzecią, rozumiesz i żeby nikt, panie tego, nie widział, uważasz.

— Uważam, proszę pana.

— Wracaj teraz do kuchni, a buzia na kłodeczkę, aniołku.

Felka chichocząc wybiegła z pokoju.

Bogucki w oczekiwaniu na obiad wyciągnął się na kanapie i zapalił papierosa.

Wkrótce z przedpokoju dobiegł szmer wolnych, posuwistych kroków i weszła Bogucka. Ubrana była całkiem czarno i z pod niemożnej, długiej peleryny widniał zwój papierów i dzienników.

Przesunęła się cicho przez jadalnię, nie zwracając uwagi na męża, weszła do sypialnego pokoju i powróciła po chwili bez peleryny i kapelusza.

W ręce niosła przyniesione papiery.

Bezsilnym ruchem opadła na krzesło przy stole i westchnęła głęboko.

Na bladej, ascetycznej twarzy znać było ślady przemęczenia. Tylko oczy głęboko wpaśnięte świeciły gorączkowym blaskiem nadając całej, jakby martwej postaci, wyraz życia. Czy niła wrażenie istoty, zupełnie oderwanej od otoczenia, idącej upornie wytkniętym szlakiem myśli własnej i zapałzonej w światy niewidzialne dla drugich.

— Bonjour ma femme, zadzwieczał głos Boguckiego.

Od chwili obserwował żonę, przeglądającą gorączkowo dzienniki leżące przed nią i ironiczny uśmiech skrzywił jego usta.

Bogucka drgnęła jak ze snu zbudzona.

— A dzień dobry! odrzekła małowym, przemęczonym głosem. Znowu te etykietalne grzeczności. Myślałam, że czas byłby wyzbyć się tych niepotrzebnych naleciałości.

— Przyznaj jednak duszko, zaczął Bogucki z lekką złośliwością w głosie, że w naszym świecie obowiązują pewne formy towarzyskie. Bogucka ruszyła pogardliwie ramionami.

— Te twoje formy, to zwyczajne mydlenie sobie oczu. Dziecinne głupstwa! Ludzie, którzy czas na to tracą, popełniają zbrodnię! Wnikać w rdzeń rzeczy, badać objawy zdrowotności moralnej, oczyszczać duszę z kału ciemnoty, obudzać w nich samowiedzę, oto cel wzniosły!

— Nie przeczę, ale... zaczął Bogucki.

Ale żona nie dała mu dokończyć.

— Wydierać z piekielnej paszczy potwora grzechu te biedne, niewolnicze istoty, które wroga ręką mężczyzny ich obskórny egoizm wtrąca codziennie w otchłań zepsucia! Nie dać, aby...

Tym razem udało się Boguckiemu przerwać na chwilę potok słów żony.

I ty to robisz? naprawdę robisz to wszystko? zapytał szyderczo.

Karzące, zimne spojrzenie pobiegło w stronę kanapy. Ale chorobliwy zapal już zadaleko poniosł Bogucką, aby w połowie swojej przemowy miała się zatrzymać.

— Nie dać, nie dopuścić, ciągnęła dalej upornie, aby to, co z rąk Stwórcy wyszło nieskalane i piękne, co się powinno drogocennym skarbem pielęgnowanym z pietyzmem po wszystkie czasy, uleż mogło zepsuciu i zatraceniu. Nie dać...

— Ale duszko, wymówił słodko Bogucki, zmęczysz się, nie przejmuj się tak gorąco!

Ale łatwiej było zatrzymać potok wezbrany, niż gorączkowy zapal Boguckiej. Na twarz wystąpiły ceglaste rumieńce, wąskie usta z trudem chwyciły powietrze, ale mówiła dalej suggestywnie się własnymi słowami.

— Nie pozwól, aby cnoty, tradycyjne naszego rodzaju niewieściego splugawić mogła wszeteczna myśl, chronić jak ogrodnik chroni kwiat rzadki od szronu i wilgoci te jasne, przeczyste dusze, zdane naszej pieczy, nie dopuścić, aby złe ziarno paść mogło na tę wiosenną rolę, by nie zakradł się w nie przeklęty podszept złego! Ale co! ty tego nie rozumiesz, zwróciła się pogardliwie do Boguckiego. Nie jesteś w stanie pojąć szczytnych obowiązków naszego postępowania, całą odpowiedzialność ciążącą na nas...

Skrzypnęły drzwi lekko i do pokoju wsunął się nieśmiało niemłody mężczyzna. Stał chwilę, lęklwym wzrokiem spoglądając na Bogucką, w końcu odchrząknął i podszedł bliżej.

Był to lokator zajmujący jeden z frontowych pokojów, emeryt, o zasuszonej, żółtej twarzy, wysokim czole pokrytym z rzadka włosami nieokreślonego koloru.

W ręce trzymał filiżankę, z którą widocznie nie wiedział co zrobić, bo co chwila spoglądał na nią z pomieszaniami, przenosząc potem wzrok na Bogucką.

Na widok lokatora Bogucki powstał z kanapy.

— Al pan Ziolkiewicz! zawołał. Witam pana. Czemże służyć mogę.

Ziolkiewicz odchrząknął silnie i filiżankę postawił na stole.

— Ja do pani dobrodziejki, przemówił nieśmiało, cichym głosem uśmiechając się grzecznie.

Bogucka zdziwiła się.

— Do mnie? Cóż takiego?

— Ja panią dobrodziejkę najmocniej przepraszam, że ośmielałem się przerywać tak interesującą rozmowę.

O, nic nie szkodzi — odparła zimno Bogucka.

Ale ja.. ja chciałem się dowiedzieć — jaką się Ziolkiewicz — Czy też... przepraszam najmocniej panią dobrodziejkę... czy też wskazana jest rzecz, abym wylawiał karakony z kawy mającej być jedynym posiłkiem aż do pory obiadowej... Podsunął się jeszcze bliżej i przyniesioną filiżankę postawił na papierach rozłożonych przed Bogucką.

Odsunęła ją gniewnym ruchem i spojrzała ostro na lokatora.

— Więc panu tylko o to chodziło?

— O to tylko pani dobrodziejko!

Boguckiego ogarnęła wesołość.

— Karakon w kawie — zaśmiał się — A to paradne! Fatalna pomyłka! Ta Felka taki rozrzepaniec!

Bogucka skarciła go surowym wzrokiem.

— Jeszcze jedno, pani dobrodziejko — ośmielał się coraz więcej Ziolkiewicz — chciałem się również poinformować, czy też... przepraszam najmocniej, wypłacam się regularnie z należności za pokój ze śniadaniem, bo to moja biedna głowa...

— Oczywiście, gdyby było inaczej, nie mieszkalby pan u mnie — oświadczyła z godnością Bogucka.

— A więc ośmielałem się prosić, aby na przyszłość... tylko niech pani dobrodziejka nie sądzi, że chcę czynić jakie zarzuty... broń Boże... ale to zawsze nieprzyjemna rzecz...

(Ciąg dalszy nastąpi).